

Bangladesz to nowy raj surferów

15 stycznia 2009

Najdłuższa plaża na świecie, czyli Cox's Bazar jest w Bangladeszu – to 125 kilometrów piasku. Dotychczas była kojarzona przede wszystkim z tajfunami i potężnymi falami, które regularnie nawiedzały to wybrzeże i rujnowały życie rybaków.

Ale wszystko ma się już niedługo zmienić, jak piszą korespondenci BBC za sprawą Jafara Alama. To człowiek, który chce z Bangladeszu, a ściślej biorąc z plaży Cox's Bazar, uczynić raj surferów. Czyli wykorzystać zasoby naturalne swego 150-milionowego kraju inaczej, niż tylko do uprawy ziemi.

Do uprawiania surfingu potrzebne są deska i fale, trochę odwagi i sporo luzu. Fale już są. Deskę Jafar również ma, a odwagi i luzu nie można chyba odmówić nikomu, kto wymyślił że Bangladesz może stać się super miejscem, które będzie konkurować z Kalifornią. Jak pisze BBC, Jafar prawie wszystkiego nauczył się sam – kupił deskę od Australijczyka, który przyjeżdżał do Bangladeszu surfować, i dał za nią 200 taka.

Alam nie wiedział jak ślizgać się po falach – uczył się surfować z telewizji. Dziś ma nadzieję, że jego pasja da mu nie tylko radochę, ale i utrzymanie. Pomogła mu fundacja Surfing The Nations z Honolulu na Hawajach. Ta organizacja pracuje z różnymi ludźmi na całym świecie, pomaga popularyzować surfing i przez to też podaje rękę i wyciąga z nędzy. Jafarowi też pomogła – Amerykanie z Surfing The Nations nauczyli go jak surfować, stosować smar do deski, poprawili technikę, pomogli założyć Cox's Bazar Surf Club. Jafar ma dziś szkołę surfingu, uczy kilkadziesiąt osób – w tym dziewczęta. To niełatwe, bo Bangladesz to państwo muzułmańskie, a oprócz

tego konserwatywne, więc epatowanie golizną w bikini jest nie na miejscu. Dlatego dziewczęta muszą nosić spodnie i t-shirty.

I nawet jeśli historia jest trochę podkoloryzowana, to i tak fajna – bo raczkująca moda na surfing w Bangladeszu to świetna wiadomość dla państwa, które plasuje się wśród najuboższych na świecie, przez ostatnie lata było rządzone przez wojsko i nawiedzane przez katastrofy naturalne. Fale zawsze kojarzyły się z kataklizmem, dziś może będą się kojarzyć też z zarabianiem pieniędzy.

Świetnie, że ktoś potrafi pomyśleć poza schematem – bo właśnie turystyka może być dla państwa takiego jak Bangladesz, jednym z rozwiązań problemu nędzy. Nie jedynym, rzecz jasna. Oczywiście, musi minąć masa czasu zanim na lotnisku w Dhace będą lądować wycarterowane jumbo-jety pełne napalonych na dłuuuugie fale surferów, musi zostać zbudowana infrastruktura, ale...

Ale to dobry początek. W Bangladeszu niemal co drugi ze 150 milionów obywateli żyje za mniej niż dolara dziennie. Surfing może wyciągnąć z nędzy przynajmniej niektórych. Wystarczy popatrzeć tylko na Egipt, który z Synaju zrobił maszynkę do robienia pieniędzy, a z Dahab – Mekkę nurków. Może to nie jest idealny model rozwoju, ale na pewno daje pracę – a to jedna z najważniejszych rzeczy, jakie państwo – szczególnie państwo tak ubogie – może pomóc załatwić. W Dahab wśród dziesiątków dive-shopów, które oferują kursy nurkowania, safari nurkowe itd., jest masa takich, których właścicielami są Egipcjanie, którzy uczą kolejnych Egipcjan jak zostać instruktorem nurkowania. Zagranizni właściciele szkół nurkowania robią to samo. To się właśnie nazywa w pomocy rozwojowej „dawać rybę, a nie wędkę”.

Miejmy nadzieję, że dla Bangladeszu 2009 rok będzie naprawdę dobry. Są całkiem niezłe przesłanki, żeby tak się stało. W końcu ubiegłego roku odbyły się wybory parlamentarne, w miarę demokratyczne. Aż 70 proc. uprawnionych poszło do urn, a

wygrała je partia Awami pod hasłami postępu, rozwoju i sekularyzmu. Obiecano dostęp do internetu, budowę nowoczesnego państwa, odwrót od islamistów i że nie staną się drugim Pakistanem. Zdobyli głosy młodych.

Trzymam kciuki żeby im się udało, a jeśli będę w Cox's Bazar, na pewno zajrzę do Jafara Alama. Surfować nie umiem, a zawsze chciałem się nauczyć. Podobno nie jest zbyt drogi.

Autor: Maciej Kuźmich

Źródło: [Świat Inaczej](#)